

Gdy tracisz grunt pod nogami

Podwodna sesja fotograficzna do znakomitego plakatu Wiśniowego sadu Antoniego Czechowa w reżyserii Łukasza Kosa – ostatniej premiery 2022 roku w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu, mogłaby suflować widzom kompleks Ofelii z Hamleta, z jej przecuciem śmiertelnego prerażenia, poczucia końca na własne życzenie. Tyle że Czechowowska Lubow Raniewska na niezwykłym zdjęciu Grzegorza Olkowskiego po porzuceniu i okradzeniu przez kochanka w Paryżu złapie jeszcze ostatni oddech, by poczuć życie, schwytać jego resztki w swoim domu i z otwartymi oczami błąkać się po otoczonym nim ukochanym wiśniowym sadzie.

Łukasz Kos w swej inscenizacji ostatniej sztuki teatralnej Antona Pawłowicza również widzom zaproponował takąż wędrówkę za Lubow i jej rodziną, a spacerów pomiędzy kolejnymi aktami z głównej widowni na tę drugą, ustawioną na Dużej Scenie, przez foyer i znów na miękkie fotele Teatru im. Wilama Horzycy, potraktował niczym „haptyczne” wtajemniczenie w myśli Raniewskiej, którymi tak nieroztropnie wyzbyła się balastu. Jakby naiwnie tkwiła w młodopolskim osłupieniu rodem z Wesela: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna...”. Czyż to nie zachowanie na czasie? Gdy tracimy grunt pod nogami ze strachu przed rozlaniem się rosyjskiej hekatombi na resztę Europy, coraz wyższymi rachunkami, nie rezygnujemy przecież tak łatwo z przyzwyczajień i stałych wydatków luksusowych, ba – bawić się będziemy nawet świetnie na balach sylwestrowych!

Wspaniale wraz z reżyserem tę nieroztropność swej bohaterki zdemaskowała wcielająca się w rolę Raniewskiej Ewa Galusińska, grająca w Toruniu gościnnie jedna z gwiazd Teatru Modrzejewskiej w Legnicy. Od pierwszych scen aktorka nie gra Raniewskiej, jest po prostu Raniewską! Podobnie jak w słynnym już spektaklu Łukasza Kosa „Fanny i Aleksander” (2020) na swej macierzystej scenie – w toruńskim Teatrze tworzy szerokim wachlarzem środków portret dojrzałej kobiety, która z pozoru może odpychać swym oderwaniem od rzeczywistości, może śmieszyć zachwytem nad „szafeczką jej najukochańszą”, (scenografia: Paweł Walicki), ale mimo to wydaje się postacią nad wyraz niesfalszowaną. Skoncentrowana na swym wewnętrznym dramacie, tak piękna i odpychająca jednocześnie w poszukiwaniu ratunku w sposób nie tyle zdroworoządkowy, ile intuicyjny, w melancholii, która drąży ją najsilniej spośród wszystkich bohaterów.

Środki aktorskie, jakimi Ewa Galusińska kreśli jej dramat, jakimi oddaje tęsknotę za zmarłym tragicznie synkiem, trudne relacje z córkami, Anią (uderzająco współczesna Julia Szczepańska) i przybraną Warią (rewelacyjna Julia Sobiesiak-Borucka), nadważone, wydawałoby się kipiące od seksualnych emocji w spotkaniu z Piotrem Trofimowem (gościnnie Igor Tajchman), są zdecydowanie najmocniejszym i najbardziej poruszającym punktem toruńskiego przedstawienia. Ten stuprocentowo naturalny (stołeczny) sposób gry (w klasycznych kostiumach Barbary Sikorskiej-Bouffal) rezonuje realną energią także na innych bohaterów Wiśniowego sadu: u wreszcie „alternatywnego” Jarosława Felczykowskiego w roli brata Raniewskiej – Leonida Gajewa, u sekretarza Siemiona Jepichodowa (Wojciech Jaworski), zagubionego w swojej nietrafności, jakby wyrwanego z innego świata, nieco przerysowanego Borisa Siemonowa Piszczyka (Małgorzata Abramowicz) czy u służby: młodego lokaja, Jaszy (Łukasz Ignasiński) i świetnej Weroniki Krystek w roli służącej Duriaszy. Nawet przy „odwróconej” akustyce, z widownią umiejscowioną na Dużej Scenie, wydawać się może, że te postaci dialogują tylko wewnętrznie, ale na tym polegać ma właśnie brak sztuczności w stylu gry zaproponowanym przez reżysera. Dużą rolę w uwspółcześnieniu dialogów odrywa również tłumaczenie Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej.

Łukasz Kos, choć z jednej strony świetnie prowadzi Horzycowy zespół, to z drugiej zbyt dosadnie w swym spektaklu prowokuje, co w czasie toczącej się agresji na Ukrainę wydawać się może jego besserwisserskim podstępem. To zdumiewa wykonaniem przez Jepochidowa piosenki Creep grupy Radiohead w wersji rosyjskojęzycznej, by niebawem odwrócić swą demonstrację w pojawieniu się Przechodnia (Regina Pietruszewska, gościnnie), która zamiast rosyjskiej poezji... recytuje Inwokację z Pana Tadeusza. W finale reżyser naraża jeszcze skonsternowanych swymi zabiegami widzów na weselny szlagier z czasów Związku Radzieckiego Bietyje rozy, którym to zaprawia „uciechę” Jermołaja Łopachina po zakupie majątku Raniewskiej. Właśnie „uciechę” – nie biznesową satysfakcję, jak „soczyście” w swej postaci rozgrywa go (nie tylko w tej scenie) Przemysław Chojęta. Jego Łopachin cynicznie, ale z dużą dozą nieśmiałości aranżuje miłość z geszeftem, tasuje je, niby karty i rozdaje w najmniej oczekiwanym przez Raniewską porządku.

Reżyser, w charakterystycznym dla siebie trybie pracy, „ogrywa” również przestrzeń Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu. Siedząc na scenie w pierwszym akcie widzimy widownię i złote balkony, ale w wizji Łukasza Kosa patrzymy na sad, po którym spacerują bohaterowie. W finale to my jesteśmy tym sadem, a pracownicy techniczni „wrywają” miejsca, które zajmowaliśmy w pierwszym akcie. Tu historia zderza się z fikcją: budynek ówczesnego Stadttheater Thorn oddano do użytku w 1904 roku na kilka tygodni przed prapremierą Wiśniowego sadu w reżyserii samego Konstantina Stanisławskiego. To on wbrew autorowi upierał się, by sztukę wystawić w tonacji tragicznej. Dekadę później II Rzesza wypowiedziała wojnę Rosji i „zasada domina” zapętlila upadek wydawałoby się potężnych Cesarstw: Niemieckiego i Rosyjskiego, skutkiem czego pruski zespół teatralny kilka lat później szybko opuścił Toruń, a rosyjska arystokracja i ziemiaństwo zostali uznani przez Lenina za „byłych ludzi”... Chwilowo bohaterowie Wiśniowego sadu, choć tracą już grunt pod nogami, to jeszcze mogą się bawić, jeszcze nie dopuszczać myśli o końcu ich świata. Jak w teatrze środka z porcją rozrywki – nie wolno przecież o niej zapominać. W ten sposób antrakt będący częścią spektaklu stał się balem u Raniewskiej – dyskotekowym szaleństwem w rytmie transowej muzyki (Kamil „Wallace” Walesiak i Łukasz Kos) i stanowi w III akcie współczesny ukłon reżysera ku pamięci Antona Pawłowicza, który przecież od początku był przeciwnym wystawiania jego „komedii” w tonacji tragicznej. Łukasz Kos tym samym celowo stawia przerysowaną postać guwernantki Szarlotty Iwanownej (Miroslawa Sobik) w wręcz kuglarskiej stylistyce, usadawiając ją na granicy teatru, a „nie-teatru”, zachęcając nas zarazem, by się do niej uśmiechnąć, co nam, równie jak staremu służącemu Firsowi (Paweł Tchórzelski), jakoś się jednak nie bardzo udaje.

W takiej konstrukcji spektaklu, nastawionej wyraźnie na młodszego widza, brak jednak zwornika: bal u Raniewskiej ma być żartem reżysera za przyzwoleniem autora. Dwutorowość, którą przedstawia może jednych razić, innych zachwycić nieczęsto spotykanym na toruńskiej scenie (nie)porządkiem sceny i widowni, (nie)równowagą życia i śmierci. Najważniejsze jednak, że w tym przedstawieniu nie ma słabych ról. Tu właściwie nie ma ról, jest umowna rzeczywistość rzekomego majątku Raniewskich, gdzie każda z postaci nosi jakiś w sobie dramat. Pozornie przyczajony i poszarpany w potoku banalnej codzienności, lecz jakże dojmujący. Ich sadu już nie ma: z Dworca Toruń Miasto rozjadą się w różne strony.

Aram Stern

Teatr dla Wszystkich